

Tomasz Banaszak

KŁOPOTY IDEI REGIONALIZMU

Jest niewątpliwie prawdą, iż w czasach nowożytnych zasadniczą kategorią teoriopolityczną jest kategoria państwa. Odzwierciedlało to stan faktyczny świata nowożytnego, w którym większość działań i refleksji dotyczących polityki koncentrowało się wokół działań państwa czy, mówiąc dokładniej, instytucji znanej jako państwo narodowe. Zasadniczą cechą struktury państwa narodowego było to, iż koncentrowała ona swe życie polityczne wokół pewnego centrum. Wyrażona, między innymi w koncepcji hobbesowskiego suwerena, idea mówiła mniej więcej tyle, iż państwo to bezosobowa instytucja, której zadaniem jest regulowanie stosunków społecznych i politycznych na danym obszarze. Bez względu na to, czy mieliśmy do czynienia z monarchiami czy republikami, każde państwo narodowe zakładało więc pewnego rodzaju, jak mówi Michael Oakeshott, „office of authority”: urząd, którego zadaniem było tworzenie reguł na danym obszarze. Ostatnie kilkadziesiąt lat to niewątpliwie czas, w którym pozycja państwa narodowego ulega osłabieniu. Związane jest to przede wszystkim z powstaniem instytucji ponadnarodowych, które w swym założeniu ingerują w politykę państw narodowych. Polityka tych ostatnich z definicji zatem traci klasycznie pojmowaną suwerenność.

Zygmunt Bauman opisując ten proces stwierdza, iż ostatnie dziesięciolecie to czas, w którym „wszystkie trzy filary, na których wspierała się suwerenność władzy państwowej, skruszały do imentu”¹. Te trzy filary, czyli samowystarczalność gospodarcza, militarna i kulturowa, stały się niemożliwe do kontrolowania tylko i wyłącznie w ramach państwa narodowego. Niewątpliwie jedną z głównych dziedzin, gdzie zjawisko to jest widoczne, jest gospodarka. Wspomniany Zygmunt Bauman opisuje to w sposób następujący: „Najbardziej rzuca się w oczy rezygnacja państwa (dobrowolna lub nie) z utrzymania ‘dynamicznej równowagi’, którą Castoriadis opisuje jako ‘w przybliżeniu równy rytm wzrostu konsumpcji i przyrostu produktywności’... Kontrolowanie wspomnianej ‘dynamicznej równowagi’ obecnie przekracza możliwości, a także ambicje przeważającej większości suwerennych

¹Z. BAUMAN, *Globalizacja*, PWN 2000, s. 77.

pod każdym innym względem (w sensie politycznego porządku i kontroli) państw. Rozróżnienie na rynek wewnętrzny i globalny... jest pod każdym względem coraz trudniejsze do utrzymania”².

Procesy globalizacyjne, o których mowa, w tylko pozornie paradoksalny sposób przyczyniły się do rozwoju idei regionalizacji. Do czasów dzisiejszych, które umownie nazwać można czasem globalizacji, obowiązywała zasada, iż każdy region może mieć tylko takie ambicje, które nie naruszają całości państwa narodowego. Wynikało to między innymi z przekonania, że lokalna samoświadomość i lokalne interesy są to zjawiska, które mogą mieć charakter negatywny i które muszą być kontrolowane przez państwo. Wzajemna niechęć regionów, tendencje kolonizacyjne regionów silniejszych wobec słabszych, to wszystko, zgodnie z ideologią państwa narodowego wymagało interwencji instytucji centralnych w imię utrzymania ogólnej równowagi. Historia polityczna nowożytnej Europy jest więc także historią ścierania się ambicji regionalnych z władzą centralną. Paradigmatyczny jest w tym kontekście przykład bałkański. Nic zatem dziwnego, że w momencie osłabienia państwa narodowego, które zmuszone zostaje do przyjęcia międzynarodowych regulacji odżywają lokalne ambicje i interesy, a państwo narodowe przejmuje na siebie raczej rolę pośrednika pomiędzy własnymi obywatelami a instytucjami międzynarodowymi, a nie jedyne wszechwładne suwerena.

Wymienione powyżej powody stanowią o tym, iż pojęcie regionu czy – mówiąc ogólniej – lokalności, odgrywa dziś w polityce zupełnie inną rolę niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Klasyczna kategoria interesu regionalnego wymaga zatem nowego podejścia i przeformułowania. W standardowym ujęciu interes regionalny czy lokalny odnoszony był zawsze do instytucji państwa narodowego i najczęściej wobec niego opozycyjny. Dzisiaj, biorąc pod uwagę przemiany polityczne i społeczne, to, co regionalne wymaga nowego podejścia i przededefiniowania klasycznych kategorii. W dalszej części tekstu chciałbym zająć się kilkoma wybranymi zagadnieniami z tego zakresu.

Tradycyjne pojęcie regionu oznacza pewien terytorialny obszar, związany ze sobą wspólną tradycją i kulturą. Choć w nawet dzisiejszej sytuacji kryzysu państw narodowych dawne więzy zachowują swe znaczenie, jest niewątpliwym faktem, iż dzisiejsze pojęcie regionu odbiega od tradycyjnego. Widać to wyraźnie, jeśli spojrzeć na obecną mapę regionów. Pierwszym, co rzuca się w oczy jest to, iż regiony są obecnie, by tak rzec, regionami skonstruowanymi. Historia służy w tym przypadku na ogół tylko jako słownik, z którego czerpie się nazwę dla danego regionu. Zasadniczą podstawą

² *Ibidem*, s. 78–79.

tej konstrukcji jest natomiast nie wspólna tradycja, lecz wspólny interes. Nad wszelkiego rodzaju euroregionami, wspólnotami regionalnymi, a nawet województwami czuwa zazwyczaj „Bóg Pożytek”, by użyć frazy bodajże Jose Saramago, a nie „Bóg Historii”. Dzisiejsze regiony to bowiem nic innego jak przedsiębiorstwa ekonomiczne w granicach geograficznego rozsądku, które znikają, gdy ich istnienie przestaje się opłacać. Zgodnie z logiką globalnego kapitalizmu, dla takich przedsiębiorstw granice państwowe i historyczne niewiele znaczą, a jedyną racją ich istnienia jest zysk ekonomiczny. Nic zatem dziwnego, że wszelkie ingerencje ze strony państwa w politykę regionu pojmowane są tylko i wyłącznie jako przeszkoda w skutecznym zarabianiu pieniędzy, a nie jako być może konieczne koncesje na rzecz wspólnoty ponadregionalnej czy dóbr nieekonomicznych.

Jedną z przyczyn, dla których pojęcie regionu utraciło swój historyczny wymiar i stało się, ot, po prostu, wspólnotą interesu jest erozja i zanik tradycji, w tym także tych lokalnych. Najlepszym na to dowodem jest tak modne dzisiaj pojęcie tradycji regionalnych. Każdy szanujący się region, owszem, przeznaczają jakieś środki na pielęgnowanie lokalnych obyczajów czy finansuje zespoły ludowe. Ale tak naprawdę jest to świadectwo klęski tradycji, a nie jej żywotności. Czym bowiem różni się społeczeństwo, w którym tradycja jest żywa i głęboko obecna od wspólnoty, która z własną tradycją jest „na bakier”. Ano tym, że w tej pierwszej nie trzeba o tradycję dbać. Jak mawiał Raymond Aron, „społeczeństwa tradycyjne nie znają tradycjonalizmu”. Dbanie o tradycję, rozumianą jako własny sposób życia, pojawia się dopiero wtedy, gdy wszyscy, bez względu na miejsce, z którego pochodzą, zaczynają żyć i zachowywać się tak samo. Dopiero wtedy pojawiają się liberałowie i konserwatyści, którzy kłócą się o to, jakie miejsce w naszym życiu powinna owa tradycja zajmować. I dopiero w tym miejscu pojawiają się programy polityki regionalnej. Tradycja jest więc w dzisiejszych regionalizmach tradycją – by znów użyć tego słowa – konstruowaną. Jeśli kiedyś znów stanie się żywa, to jej pierwszą ofiarą stanie się region rozumiany na sposób dzisiejszy, jako wspólnota interesów. Tradycja i zysk rzadko chadzają w parze.

Opisane powyżej odmienności pomiędzy regionami z wieków przeszłych a regionami dzisiejszymi zmuszają do przeformułowania podstawowych kategorii związanych z pytaniem o to, co jest lokalnym interesem. Bywają sytuacje proste, w których odpowiedź na to pytanie jest zupełnie oczywista. Jeśli urzędnik centralny nie daje na coś zezwolenia tylko dlatego, że jest urzędnikiem centralnym, to nie ma większych kontrowersji, po czyjej stronie leży racja. Ale ta prosta sytuacja nie daje odpowiedzi na pytanie, jak definiować interes regionu w zupełnie nowej rzeczywistości politycznej. Rzeczywistości, w której słabnie rola państwa narodowego jako koordyna-

tora lokalnych interesów i której tylko marginalnie zdarzają się wspólnoty lokalne o silnej, żywej tradycji.

Jak zatem w dzisiejszej sytuacji można interpretować pojęcie interesu lokalnego? Sądzę, iż w pojęciu regionu zasadniczym czynnikiem staje się czynnik ekonomiczny. Historycznie można bowiem mówić o regionie tylko wtedy, gdy większość jego populacji rodzi się i umiera w tym samym miejscu i podtrzymuje jego tradycję, a nie w przypadku tak zwanej „kultury mobilności”, gdy ludzie wędrują za pracą z miejsca na miejsce, zrywając związki z miejscem urodzenia. Dlatego bardziej sensowne wydaje się mówienie nie tyle o regionach, co o *lokalnej samorządności*, rozumianej jako pewna propozycja dotycząca kwestii ekonomicznych i politycznych. Być może jest to wymóg globalnego rynku, który taką sytuację w równym stopniu umożliwia, co wymusza. Jeśli jednak ta tendencja się utrzyma, będzie się to wiązało z rosnącą rolą biurokracji ponadnarodowych. Można by, dość przewrotnie, postawić tezę, iż większa autonomia regionów oznacza większą biurokrację unijną. Koalicje interesów nie znają granic. Ponadnarodowe korporacje, najdziwniejsze sojusze ekonomiczne miast, które można obserwować w dzisiejszej Europie, to wszystko wymaga rosnącej roli ponadpaństwowych uregulowań i solidnej armii urzędników, którzy będą kontrolować przestrzeganie przepisów. Prawdziwa jest zatem często dziś stawiana teza, że globalizacja i regionalizacja to dwie strony tego samego medalu.

Problemy regionalizacji

Proces autonomizacji regionów ma jednak i swoje kręte ścieżki. Niewątpliwym przegranym rosnącej autonomii regionów jest, przynajmniej jak dotąd, państwo narodowe. Ujmując rzecz czysto teoretycznie, rację mają przedstawiciele skrajnej prawicy, gdy twierdzą, że suwerenność pada ofiarą uczestnictwa w globalnych strukturach politycznych. Państwa nie mogą prowadzić takiej jakby chciały polityki gospodarczej, muszą liczyć się z ustaleniami dotyczącymi przestrzegania praw człowieka, a wkrótce być może ulegnie ograniczeniu ich suwerenność w sprawach polityki zagranicznej. Co więcej, nie mogą własnych regionów traktować w pełni suwerennie, ale muszą uwzględniać ich uprawnienia wynikłe z ustaleń międzynarodowych, muszą je traktować niemalże jak podmioty polityki międzynarodowej. Autonomizacja i globalizacja, choć mogą okazać się korzystne ekonomicznie, rodzą zatem szereg napięć politycznych i społecznych, których rezultat wcale nie jest z góry określony. Jeśli nawet tradycja przestała być żywą siłą społeczną, czy oznacza to, że klasyczna, nowożytna idea suwerenności również przestała się liczyć? Jeśli nie, oznaczałoby to, że wszelkiego rodzaju fundamentalizmy,

ksenofobie lokalne i narodowe nie są wcale przeżytkiem przeszłości, lecz wynikają z logiki zachodzących procesów społecznych i politycznych. To też nie jest teza nowa (żeby przypomnieć tu koncepcję polskiego socjologa Zygmunta Baumana o współzależności pomiędzy globalizacją a fundamentalizmem), ale pozostawia otwarte pytanie o rezultat zachodzących procesów politycznych związanych z globalizacją i regionalizacją.

Dzisiejsze spory wokół zagadnień regionów są także niewątpliwie uwarunkowane czynnikami ideologicznymi, a mówiąc dokładniej, kluczowego dla nowożytności sporu pomiędzy lewicą i prawicą. Nie jest rzeczą przypadku, że promocja idei tego, co nazwałem tu lokalną samorządnością pojawia się w tym, a nie innym momencie historycznym. Ostatnie dwa, trzy dziesięciolecia to dla Europy czas, w którym klęskę (ciekawą, czy ostateczną?) poniosła idea centralnego planowania w gospodarce, co dało asumpt do rozkwitu ideologii leseferystycznych i libertariańskich. Dzisiejsza siła argumentów za lokalną samorządnością karmi się tymi faktami historycznymi. Jeśli bowiem państwo nie jest w stanie skutecznie manipulować życiem gospodarczym, to jakim cudem miałoby być w stanie decydować o rozwiązywaniu problemów lokalnych? Tak jak tylko prywatny przedsiębiorca wie, co mu jest potrzebne do rozwoju, a wolny rynek weryfikuje jego decyzję, tak tylko lokalny polityk wie, co jest potrzebne jego regionowi, a centralnym organom nic do tego. Jeśli jednak, jak głoszą to tak modni dziś myśliciele polityczni, jak Anthony Giddens czy John Gray okaże się, że za chwilę leseferyzm poniesie klęskę równie spektakularną, jak kiedyś socjalizm, to kto wie, czy idea państwa regulującego również i kwestie lokalne nie wróci w pełnej chwale. Istnieje przecież cały czas obecna w polityce idea zbudowana na klasycznym kontrargumencie wobec leseferyzmu, która mówi, że tak prywatny przedsiębiorca, jak i lokalny polityk cierpią na wąski horyzont widzenia i że nikt jeszcze nie potwierdził skuteczności „niewidzialnej ręki” w gospodarce i polityce choćby z tego powodu, że jest ona niewidzialna. Zgodnie z tym argumentem konieczne jest zatem państwo, które będzie nie tylko ośrodkiem koordynacji, ale i miejscem, w którym definiuje się, co jest dobrem ogólnospołecznym, a nie tylko lokalnym, to zaś wiąże się z ograniczeniami wobec tego ostatniego.

Wspomniane wyżej historyczne uwarunkowania idei lokalnej samorządności pokazują tylko genezę jej siły w dzisiejszym dyskursie politycznym. Dyskurs ten cierpi jednak, moim zdaniem, na kilka ideologicznych uwarunkowań, które w efekcie końcowym mogą się okazać wcale nie tak przyjazne dla realistycznego dążenia do wzmocnienia lokalnej samorządności. Jak już wspomniałem, nie chciałbym podawać jakiegoś ostatecznego, słusznego rozwiązania. Lecz jeśli rację mam, iż spór o relację pomiędzy tym, co lokalne a tym, co państwowe jest najnowszą wersją sporu pomiędzy lewicą i pra-

wicą, to dobrze jest chyba zdawać sobie sprawę z tego, co w nim z tych ideologii jest zawarte. Kilka takich zagadnień chciałbym teraz spróbować opisać.

Jeśli czyta się dzisiejsze pochwały lokalnej samorządności, to pierwszym, co rzuca się w oczy, jest ich niezłomny optymizm. Optymizm, który – jak sądzę – jest konsekwencją związków ideologii wolnego rynku z dzisiejszą polityką. Tak jak porządny zwolennik wolnego rynku wierzy, że wspomniana już „niewidzialna ręka” rynku wykona za nas całą pracę związaną z koordynacją jednostkowych interesów, tak zwolennik „totalnej” regionalizacji wierzy, że jakimś sposobem uda się pogodzić w większej całości interesy wszystkich regionów. Że cedowanie kolejnych uprawnień państwa narodowego na lokalne samorządy nie naruszy chwiejnej równowagi pomiędzy tym, co lokalne, tym, co państwowe a – *last, but not least* – tym, co globalne. Jeśli nawet jest tak, że obserwujemy dzisiaj silną pozycję lokalnej samorządności (przynajmniej w założeniach), to stało się to między innymi dzięki temu, że państwo narodowe jednak pełniło rolę policjanta przestrzegającego globalnych reguł gry. Nikt, jak sądzę, nie zna odpowiedzi na pytanie, co stanie się, gdy będziemy mieli tylko Europę regionów, a nie, jednak mimo wszystko, Europę ojczyzn. Być może nic się nie stanie, a „niewidzialna ręka polityki” naprawdę zadziała. Być może nie.

Optymistycznej wizji „totalnej” regionalizacji, związanej z pravicową ideologią wolnego rynku przeciwstawić można stanowisko drugiej strony, pojmującej politykę bardziej jako brutalną grę sił niż jako system samoregulujący. Brutalną grę sił, która wymaga interwencji tę brutalność łagodzących. Tutaj można również posłużyć się językiem ekonomii. Tak jak zwolennik wolnego rynku wierzy w „niewidzialną rękę”, tak jego krytyk będzie twierdził, że jedynym skutkiem wolnego rynku jest to, że „biedni są jeszcze biedniejsi, a bogaci jeszcze bogatsi”. Ta wiara przekłada się na politykę. Lokalną samorządność trzeba kontrolować, bo inaczej będziemy mieli nierówności pomiędzy regionami, które rozsądzą państwo od wewnątrz. W tej wersji problemem są oczywiście szeroko znane niepowodzenia etatyzmu w gospodarce i polityce. Niepowodzenia rzeczywiste, a nie wydumane. Ale czy to likwiduje problem?

Jedną z inicjatyw podejmowanych w duchu nowej lokalności była swego czasu inicjatywa tzw. „lubuskiego trójmiasta”. Władze polityczne Zielonej Góry, Sulechowa i Nowej Soli powołały do życia Stowarzyszenie Gmin „Lubuskie Trójmiasto” w nadziei, iż współdziałanie tych trzech miast polepszy byt każdego z nich z osobna. Chciałbym tej inicjatywie poświęcić parę uwag, skupiając się zarówno na jej zagrożeniach, jak i traktując ją jako *case study* nowego podejścia do spraw lokalności.

Rozmowa o lubuskiej autonomii i suwerenności – bez względu na to, czy dotyczy to idei Lubuskiego Trójmiasta czy innych podobnych inicjatyw – rozbija się moim zdaniem o pewien drobny fakt. Otóż w obrębie ziemi lubuskiej (a i generalnie na tzw. Ziemiach Zachodnich) na dobrą sprawę nie istnieje lokalna tradycja taka jak na przykład na Śląsku czy Kaszubach, których projekty autonomii stały się ostatnio całkiem głośne. W konsekwencji, nie istnieje nic takiego, jak naturalna siatka więzów kulturowych i historycznych. Nic tu nie dzieje się „od zawsze” (być może poza głęboko zakorzoną wzajemną niechęcią Gorzowa i Zielonej Góry). Inicjatywa Lubuskiego Trójmiasta jest więc przykładem regionu skonstruowanego w oparciu o interesy ekonomiczne, a nie wspólną tradycję i historię. Fakt ten determinuje zachowanie się polityków, którzy ową inicjatywę podejmują. Ujmując rzecz hipotetycznie, budowanie takiego bytu politycznego jak Lubuskie Trójmiasto może odbywać się na dwa sposoby. Jeden z nich polegałby na rozpoznaniu istniejących już od dawien dawna powiązań i co najwyżej ułatwieniu ich rozwoju przez decyzje administracyjne. Drugi zaś (i to jest, obawiam się, nasz przypadek) polegałby na tym, iż politycy odgórnie, „na własne wyczucie” ustalają, gdzie leżą główne obszary współpracy i na czym, ich zdaniem, polegać ma wspólnota interesów między poszczególnymi miastami. Można to wyjaśnić na przykładzie: jeśli większość mieszkańców miasta X pracuje i szuka pracy w mieście Y, to jest rzeczą rozsądną rozwinąć komunikację między tymi dwoma miastami. Jeśli natomiast jest tak, iż to politykom wydaje się, że mieszkańcy miasta X powinni pracować w mieście Y, to rozbudowa linii komunikacyjnych może okazać się niewypałem. Ludzie z wielu psychologicznych i socjologicznych powodów, o których nie miejsce tu mówić, nie zawsze wybierają to, co dla nich najkorzystniejsze i nie zmieni tego nawet najlepsza wola polityków. Przekonanie, że wybudowanie paru dróg przyczyni się do rozwoju związków lokalnych jest klasycznym socjalistyczno-technologicznym przekonaniem, że polityk może kształtować rzeczywistość społeczną wedle swych własnych życzeń. Zasadniczym niebezpieczeństwem przy takim projekcie jak Lubuskie Trójmiasto jest więc zawarte w nim ziarno utopizmu. Trzeba by tu, jak sądzę, podejścia nieco bardziej konserwatywnego, czyli takiego, które mówi, że lepiej niż dużo planować i dużo uzgadniać jest zostawić pewne rzeczy własnemu biegowi i zobaczyć, co z tego wyniknie. W naszym konkretnym przykładzie oznacza to, iż rzeczą rozsądną byłoby staranne rozpoznanie, gdzie już ma miejsce współpraca między miastami i albo wystrzeganie się jakiegokolwiek ingerencji, by nic nie popsuć, albo bardzo dyskretnie wspieranie tych działań. Jest to oczywiście w sytuacji demokratycznej, w której polityka rozlicza się z tego, co zrobił, a nie z tego, co zaniechał, bardzo trudne.

Zasadnicze problemy dzisiejszej idei regionów sprowadzają się zatem do tego, iż konieczna jest nowa siatka pojęciowa, przy pomocy której trzeba opisywać zamierzenia i cele polityki regionalnej. Wtórna wobec historii i tradycji nowa konstrukcja regionów wymaga, by tak politycy, jak i ci, którzy o polityce myślą, zdawali sobie sprawę, że pozostawanie przy starych pojęciach jest ścieżką donikąd.

Tomasz Banaszak

PROBLEMS OF THE IDEA OF REGIONALISM

Abstract

The conditions of contemporary politics have created a new situation not only in economic or political areas but in the area of categories as well. The notion of region or locality is one of those that demand a new interpretational attitude, for many reasons. One of them is the fall of national states and their changed, when compared to former ages, position in the world. Once omnipotent, today their activity is controlled by international organizations. The region then is no longer just a part of the state, but to some extent a self-independent political entity, often gaining a high level of autonomy. In this situation political thinking has to try to interpret the category of region in a way different from traditional. In the text I try to show a few topics derived from such thinking. An attempt to apply my conclusions to a local common enterprise of three cities concludes the text.